

W NUMERZE

TEMATY TYGODNIA

- 12** Jacek Żakowski
Prawica zajęczych serc
- 15** Marcin Kołodziejczyk
Biały Białystok przeciw uchodźcom

RATING RZĄDU 2015

- 17** Łukasz Lipiński
POLITYKA INSIGHT
Oceniamy rząd Ewy Kopacz

ROZMOWA POLITYKI

- 20** Z prof. Andrzejem Lederem o duszy Polaka i poczuciu krzywdy

RAPORT: POLSKA PRZED WYBOREM

- 24** Joanna Solska
Rolnik szuka polityka

SPOŁECZEŃSTWO

- 28** Juliusz Ćwieluch
Kuchenne rewolucje w szkole
- 31** Edyta Gietka
Co zrobić z jednogroszówkami
- 34** Kim jest matka Polka emigrantka – rozmowa z dr Sylwią Urbańską
- 37** Przemysław Kozłowski
Polscy muzułmanie też się podzielili
- 40** Piotr Pytlakowski
Mobbing w skali powiatowej
- 42** Barbara Pietkiewicz
Zabiła, bo był mięczakiem

RYNEK

- 44** Violetta Krasnowska
Jak dobrze zbankrutować

PORADNIK BUDOWLANY

- 48** Urszula Szyperska
Apartamentowce, czyli luksus dla wybranych

ŚWIAT

- 56** Tomasz Maćkowiak
Grupa Wyszehradzka: każdy sobie
- 60** Filip Gańczak NIEMCY
Mur wciąż stoi
- 63** O wyborach i władzy Łukaszenki – rozmowa z białoruskim opozycjonistą Mykołą Statkiewiczem

POLITYKA 41 / 7.10–13.10.2015



12 Wyborczy konkurs strachów



24 RAPORT: polska wieś orze jak może



28 Szkoła już nie soli



116 NA WŁASNE OCZY Oktoberfest z podtekstem

- 64** Aleksandra Lipczak
HISZPANIA
Takiego kraju już nie ma

HISTORIA

- 68** Adam Krzemiński
Przepowiednie Timothy'ego Snydera: czy wielkie zło powróci?
- 71** Andrzej Fedorowicz
Seksbomba i supertorpeda

NAUKA

- 76** Andrzej Hołdys
Zmuszeni do wyjazdu
- 80** Paweł Walewski
Czy celebryci pomogą w walce z cukrzycą
- 82** Astronauta Harrison Schmitt, z załogi Apollo 17, która była na Księżycu, o misji na Marsa

KULTURA

- 88** O „Judaszu”, idealizmie i fundamentalizmie – rozmowa z pisarzem Amosem Ozem
- 92** Jakub Knera
Matana Roberts i jej muzyczne dzieje Ameryki
- 94** Jan M. Długosz
Telewizyjna wizja historii
- 97** KAWIARNIA LITERACKA
Grażyna Plebanek
- 98** Grzegorz Rzeczkowski
Archiwum paryskiej „Kultury” trafia do sieci
- 101** MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 102** Mariusz Herma
Internet bez reklam?
- 106** Marta Wróbel
Kulinarna nowomowa
- 108** Maciej Okraszewski
Polacy mistrzami grapplingu

NA WŁASNE OCZY

- 116** Adam Krzemiński
Monachium piwa i imigrantów

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 84 Afisz
- 110 Passent • 112 Stomma
- 113 Tym • 114 Do i od redakcji
- 115 Fusy • 122 Polityka i obyczaj



ślawomir mizerski z życia sfer

Kręcenie na większą skalę



Dobra wiadomość jest taka, że Jarosław Kaczyński przerwał milczenie i podczas publicznych wystąpień chętnie dzieli się swoimi pomysłami. Np. takim, że „przeciętny Polak powinien być w takiej samej sytuacji ekonomicznej jak przeciętny Niemiec”, co moim zdaniem jest koncepcją słuszną. Niestety, rząd PO przez ostatnie osiem lat fundował przeciętnemu Polakowi sytuację ekonomiczną o wiele gorszą od tej, którą ma Niemiec, co tylko potwierdza opinię, że jest to rząd proniemiecki, a nie propolski. Prezes PiS uważa, że do zrobienia jest w kraju wiele w rozmaitych dziedzinach. Weźmy np. kinematografię, w której jedynym znanym dokonaniem obecnej władzy jest „Ida” – film przereklamowany, niekolorowy, w dodatku zrozumiany na świecie opacznie i antypolsko. Jest przegnębiające, że przez osiem lat ta władza nie potrafiła np. skłonić

propolskiego filmu o rotmistrzu Pileckim, chociaż zdaniem prezesa Kaczyńskiego jest pilna potrzeba, aby Hollywood taki film nakręcił. Z jego wyliczeń zaprezentowanych na spotkaniu w Poznaniu jasno wynika, że „jeden film o rotmistrzu Pileckim wyprodukowany w Hollywood z bardzo znanymi twarzami może zmienić więcej niż wiele akcji propagandowych w mniejszej skali”.

Oczywiście do rozwiązania pozostają kwestie techniczne, np. to, jak w ogóle zmusić Hollywood do zainteresowania się nakręceniem takiego filmu? Ale moim zdaniem sprawa jest do załatwienia, bo wiadomo, że Hollywood za kasę nakręci wszystko, a kasę można pozyskać np. z opodatkowania transakcji bankowych albo sklepów wielkopowierzchniowych. Oczywiście przyda się też poparcie wszechwładnego hollywoodzkiego lobby gejowskiego, dlatego szalenie ważne, żeby prezes PiS rzucił na ten

odcinek ludzi najbardziej zdeterminowanych, oddanych i gotowych zrobić wszystko, żeby przełamać nieufność tego lobby. Uważam, że nawiązane w ten sposób kontakty mogłyby w przyszłości pomóc w nakręceniu przez Hollywood innych filmów na ważne propolskie tematy, których przecież nie brakuje. Na razie PiS kręci na te tematy jedynie krótkie, prymitywne spoty wyborcze, ale uważam, że słuszniejsze byłoby podjęcie tych zagadnień w wysokobudżetowych amerykańskich produkcjach z udziałem tamtejszych gwiazd.

Platформа rozwinęła Polskę na papierze, teraz czas, żeby papier zastąpić taśmą filmową i nakręcić np. wielkie hollywoodzkie widowisko o podnoszeniu Polski z ruin przez rząd Beaty Szydło. Jestem przekonany, że dzięki plejadzie znanych aktorów i efektem specjalnym najwyższej jakości Polska na ekranie podniesie się szybciej i efektowniej niż na papierze.

peugeot.pl

WYJĘLIŚMY
CYLINDER,
ZOSTAWILIŚMY
MOC

NOWE SILNIKI PureTech

Peugeot prezentuje innowacyjne benzynowe silniki **PureTech** nagrodzone tytułem **Silnik Roku 2015**.



1-litre to 1.4-litre
PSA Peugeot Citroën
1.24litre three-cylinder turbo

PEUGEOT REKOMENDUJE TOTAL Szczegółowe informacje dotyczące zużycia paliwa i emisji CO₂ oraz odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji na peugeot.pl

NOWE SILNIKI PureTech

MOTION & EMOTION

Kup książkę



PEUGEOT

Cios w Spizową Bramę



Adam
Szostkiewicz

Coming outy księży gejów zdarzają się w Kościele. Ale coming out ks. Krzysztofa Charamsy przykuł uwagę światowych mediów jak żaden przedtem. Prawdopodobnie dlatego, że miał profesjonalną oprawę piarowską i przydarzył się w czasie pontyfikatu papieża Franciszka, który ma do osób homoseksualnych ludzkie podejście (kilka dni przed wybuchem sprawy ks. Charamsy Franciszek przyjął na prywatnej audiencji parę gejów, z których jeden jest jego byłym uczniem).

Ujawnienie było dobrze przygotowane i przejdzie wskutek rozgłosu do duszpasterskiej i obyczajowej historii Kościoła. Zwłaszcza że jego kreator i bohater należał do watykańskiego establishmentu. I to Kongregacji Nauki Wiary, strzegącej katolickiej ortodoksji w Kościele. Czy można jednak księdzu robić zarzut z tego, że zadbał o to, by jego sprawa przebiła się na czołówki mediów? I że połączył ją z rozpoczynającym się właśnie w Watykanie biskupim synodem o rodzinie? Przecież niedawno temat stosunku Kościoła do osób homoseksualnych pojawił się już na synodzie i został utracony.

Kto jak nie gej, ksiądz i funkcjonariusz aparatu kościelnego w Rzymie, może najlepiej opowiedzieć o tym, co się dzieje wokół tego tematu za spizową bramą Watykanu? To, że ks. Charamsa jest gejem, w niczym nie podważa jego tytułu do publicznej krytyki kościelnej homofobii. Ani nie odbiera wartości jego słusznej i celnej rozprawie z homofobicznym kołtuństwem szerzonym przez duchownych pokroju ks. Oko. Nawet jeśli wydrukowany w „Tygodniku Powszechnym” artykuł ks. Charamsy, wymierzony w kościelny język przemocy i dehumanizacji, był częścią jego planowanego coming outu. Milczenie Kościoła w Polsce na temat wielu antyewangelicznych aktów werbalnej agresji zasługiwało na ostrą krytykę. Antyhomofobiczny manifest ks. Charamsy zachowa wartość, nawet jeśli duchowny zostanie wydalony ze stanu kapłańskiego (trzeba będzie jednak udowodnić, że autor jest homoseksualistą aktywnym).

Charamsa postawił na kościelnej wokandzie kwestię ważną. Bo nie chodzi tylko o gejów, ale o stosunek Kościoła do różnych mniejszości, które część duchownych bezkarnie upokarza (np. dzieci z in vitro czy społeczność LGBT). Kościół zapewne nie odniesie się do zarzutów ks. Charamsy inaczej jak z pogardą i drwiną. Nie policzy też księży homoseksualistów w swych szeregach, więc nie dowiemy się, czy ks. Charamsa ma rację, twierdząc, że jest ich więcej, niż się sądzi. Tak twierdzą też kościelni tropiciele „mafii homoseksualnej” na szczytach kościelnej władzy, działający z zupełnie innych pobudek niż ks. Charamsa. Tropiciele ci są kościelnym odpowiednikiem wszelkiego rodzaju lustratorów lubujących się w atakach na salony i elity.

Postaje pytanie: jeśli rzeczywiście księży homoseksualistów jest tak wielu i to wysoko postawionych, to czemu w Kościele rządzi homofobia? Czy z powodu jakiegoś mechanizmu wyparcia i samomaskowania? To prowadzi do, niewygodnego dla Kościoła, pytania o celibat. Czy uparte trwanie przy kościelnym prawie sprzed tysięcy lat, niedającym duchownym wyboru, ma sens we współczesnym świecie? Czy nie umacnia ono kościelnej kultury milczenia i obłudy, a wraz z nimi języka agresji i przemocy? Pytania dobre na synod.

Jan Koza



© JAN KOZA

Więcej pożytku z Pożytku

Rekordowe ponad 557 mln zł wpłynęło w tym roku na konta Organizacji Pożytku Publicznego (OPP). To o 50 mln zł więcej niż w zeszłym roku. Równie rekordową kwotę 136 mln zł zebrała jedna tylko fundacja – „Zdążyć z pomocą”. Fundacja ta od lat zasysa zdecydowaną większość wszystkich pieniędzy, które Polacy przekazują w ramach odpisu podatkowego na OPP. W ciągu ostatnich ośmiu lat wpływy „Zdążyć z pomocą” wyniosły 744 mln zł. Za sukcesem tym stoją tysiące rodziców, którzy prowadzą kampanię wspierania własnych dzieci – to dla nich „Zdążyć z pomocą” jest pośrednikiem w przyjmowaniu środków. Organizacje prowadzące subkonta (zbierano na nich fundusze dla konkretnych dzieci) tradycyjnie już zdominowały pierwszą dziesiątkę najhojniej obdarowywanych OPP.

System subkont od lat krytykowany jest przez autorów ustawy o pożytku publicznym, jak i przez część środowiska, które widzi w nim mechanizm prywatyzacji własnych podatków i wypaczenie idei. Z problemem próbowano zmierzyć się przy okazji tegorocznej nowelizacji Ustawy o działalności pożytku publicznego i wolontariacie. – *W okresie przedwyborczym nie było szans na dokonanie tak fundamentalnej zmiany, jak likwidacja subkont, które – o czym się już nie pamięta – weszły do praktyki jakby bocznymi drzwiami* – mówi poseł Tadeusz Tomaszewski, który zaangażował się w nowelizację.

Wpoprawionej ustawie (wejdzie w życie 9 listopada) udało się jednak przeprowadzić kilka poważnych zmian, które powinny zaowocować większą przejrzystością w rozliczaniu funduszy zbieranych z 1 proc. Dotychczas sporo fundacji twierdziło, że nie może podać dokładnych danych, na co przeznaczają pozyskane w ten sposób środki. Przegłosowane w sierpniu zapisy nakładają na nie obowiązek prowadzenia oddzielnej księgowości dla tych konkretnych pieniędzy. OPP będą miały również obowiązek informowania, że swoje kampanie finansują z pieniędzy pozyskanych z 1 proc. Rekordziści potrafili wydać na ten cel nawet kilka milionów rocznie. Posłom udało się również ucywilizować kwestie związane z darmowymi programami komputerowymi, które często automatycznie przekazywały odpis z 1 proc. na fundację, która dystrybuowała program. Teraz trzeba będzie wyraźnie poinformować użytkownika programu o takim mechanizmie. To wszystko dobre informacje dla 12,5 mln Polaków, którzy w tym roku zdecydowali się wesprzeć OPP 1 proc. swoich podatków. (JULI)

Czytanie na szynach

Mamy w Polsce ciekawy trend – ubywa tradycyjnych bibliotek i księgarni, ale książek w przestrzeni publicznej jakby coraz więcej. Niedawno na przykład czytający wrocławianie mogli poruszać się po mieście za darmo (tj. za okazaniem lektury). Tę jednodniową, skądinąd sympatyczną inicjatywę pomyślano tak, by uprzywilejować czytelników. Tymczasem PKP Intercity ze swoich pasażerów czytelników chce dopiero uczynić. Akcja „Książka w podróż” ruszyła w połowie września, w najbliższym czasie obejmie także pociągi TLK. Na największych polskich dworcach pojawiły się już pierwsze „biblioteki wizualne” – czyli plakaty z okładkami książek. E-booki można pobrać, skanując kod QR albo wpisując w wyszukiwarkę widniejący na plakacie adres internetowy – i czytać na smartfonach, czytnikach, tabletach lub komputerach. Pasażerowie wybór na razie mają skromny: 18 obszernych fragmentów książek nowych (w tym „Zuza albo czas oddalenia” Jerzego Pilcha, „Drach” Szczepana Twardocha, biografia Simony Kossak) oraz 9 pełnych dzieł klasycznych (Balzac, Dumas, Schulz itd.). Zamysł – nomen omen – wydaje się czytelny: chodzi o to, żeby orientować się w rynkowych nowościach i sięgnąć przy okazji do kanonu. – *Kierowaliśmy się kilkoma przesłankami: w każdym zestawie (bibliotece wizualnej) powinna być przynajmniej jedna pozycja dla dzieci oraz jeden reportaż lub literatura faktu, a wszystkie tytuły powinny prezentować*



odpowiedni poziom literacki – tłumaczy Andrzej Mikołajewski, koordynator ds. odpowiedzialnego biznesu i rzecznik etyki PKP Intercity. Wyboru dokonali wspólnie partnerzy akcji (Matras, Publio.pl, Wolne Lektury) pod merytoryczną opieką Instytutu Książki. W Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Gdyni, Gdańsku i we Wrocławiu ustawiono dodatkowo regały bookcrossingowe – dworcowe biblioteki służące wymianie lektur (tym razem drukowanych). Zamiast więc koczować w poczekalniach, pasażerowie mogą przetrząsnąć i te zbiory. No i na własną rękę je uzupełnić.

Według wstępnych założeń akcja ma potrwać do końca lutego 2016 r. (jeśli odniesie sukces, zostanie przedłużona), a oferta wzrosnąć w tym czasie do 81 tytułów. Pasażerowie PKP Intercity z biletami w dłoń otrzymają poza tym 25-proc. rabat na zakupy w wybranych sklepach internetowych i księgarniach.

Poziom czytelnictwa w Polsce może od podobnych działań nie wzrośnie, ale w tym wypadku założenie było skromniejsze – chodzi o samą przyjemność i umasowienie czytania. – *Podróż to świetny czas na lekturę i dzięki akcji możemy ten moment właśnie na to wykorzystać. Zwłaszcza jeśli nie czytamy, bo brakuje nam czasu albo nie wiemy, co wybrać z oferty księgarni czy biblioteki* – przekonuje Grzegorz Gauden, dyrektor Instytutu Książki. Polscy podróżnicy i tak już nieustannie wpatrują się w smartfony. To już może lepiej, żeby czytali. **(AŻ)**

REKLAMA

ODKRYJ GAME MODELI PEUGEOT

PRZYJDŹ do salonu Peugeot i **PRZETESTUJ** wybrany model. Będziesz zaskoczony nowymi możliwościami i bogatym wyposażeniem samochodów Peugeot.



Skorzystaj z atrakcyjnej oferty finansowania na wszystkie modele Peugeot.
LEASING od 100% lub KREDYT 50/50.

PEUGEOT REKOMENDUJE TOTAL. Szczegółowe informacje dotyczące zużycia paliwa i emisji CO₂ oraz odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji na peugeot.pl.

Modlitwa o posady

Zjednoczone siły uczniów oraz drobnej przedsiębiorczości prowadzącej szkolne sklepiki odniosły walne zwycięstwo nad panią ministrem edukacji i panem ministrem zdrowia. Do szkół oficjalnie wracają drożdżówki. Wprawdzie nie bardzo wiadomo, dlaczego drożdżówki ze szkół wyszły (w zakładach szło raczej o chipsy, batony i przesłodzone napoje), ale bój o ten gatunek ciastka był rzeczywiście heroiczny. Demonstracyjnie zamykano sklepiki, w których straszyły puste półki, drożdżówki pojawiały się „spod lady”, czyli z pobliskiego sklepu, co przypominało starszym czasy PRL i tzw. sklepy komercyjne. To już był prawie strajk powszechny przeciwko opresyjnej władzy i jakoby zdrowej żywności. W tym nastroju zwycięstwa może wróci nawet sól, o ile minister zdrowia odda i tę redutę, aby przed wyborami uspokoić nastroje rodziców, przerażonych, że dzieci głodują. W każdym razie uczniowie, zjednoczeni z drobnym handlem, zdecydowanie odrzucili wielką reformę małego sklepiku i pokazali, że niekoniecznie wielkie reformy prowadzą do wygranych. Czy, patrząc na sprawę nieco szerzej, oznacza to, że ciepła woda w kranie miała jednak jakąś wartość?

Triumf drożdżówkowy może się jednak okazać początkiem innych powrotów, które nie będą już tak przyjemne dla ucznia. Wrócić przecież może kanon lektur, zwłaszcza tych z silnym akcentem na właściwy patriotyzm, a także więcej lekcji historii o bardziej jednoznacznych w wymowie. Lider partii idącej po władzę wyraźnie to zapowiada, a na niższych szczeblach przygotowania trwają. Oto na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego zakazano prezentacji moskiewskiego pisma „Więstnik Jewropy” (numer poświęcony Polsce), ponieważ okazało się, że tenże więstnik niesie wieści ideologiczne, a autorzy związani są „z określoną orientacją polityczną”: profesorowie Karol Modzelewski i Leszek Balcerowicz, Adam Michnik, reżyserzy Andrzej Wajda i Krzysztof Zanussi, których zapewne łączy głównie to, że nie głosują na PiS. O zakazie nie wiedzieli ponoć rektor ani dziekan, rzecz rozstrzygnął pracownik z tytułem doktora, co jest sytuacją ciekawą i ciekawe czasy zapowiadającą. Komisarze polityczni już się zgłaszają. I to na wielu frontach.

Dziennikarstwo niepokorne, zrzeszone w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, zameldowało się pod wodzą samego prezesa Skowrońskiego na Jasnej Górze. Od obrazu Czarnej Madonny płynęły słowa modlitwy i nadziei, że Krajowa Rada Radio-



fonii i Telewizji zniknie i już więcej żadnego niepożądanego ładu medialnego nie ułoży; że wreszcie telewizja zostanie przez właściwe środowisko zajęta i popłyną z niej słowa prawdy, bez żadnych manipulacji, bez ogłupiania ludzi. Że dziennikarze nie będą zastraszeni procesami politycznymi, nikt nie będzie zginał im karku i już nie będą przedstawicielami zawodu upodłanego. Jedna tylko dziennikarka wylała się z ogólnego wzniesłego nastroju i stwierdziła, że zebrani robią to samo co znienawidzony mainstream, tylko jakościowo zdecydowanie gorzej, bo nikomu nie przyszło do głowy, żeby się po prostu warsztatu nauczyć. Ta prawda nie spotkała się jednak z uznaniem miłośników prawdy.

Absurdalność sporu o drożdżówkę, dziennikarskie modły na Jasnej Górze o posady w telewizji, szukanie właściwych orientacji na uniwersytecie wprowadzają nas nieźle w klimat kampanii wyborczej, która właśnie weszła w kolejny etap. Ma być teraz „mobilna”, co oznacza, że wszyscy wsiedli już w busy, szydłobusy, r-busy, lewicobusy, a może nawet w mniejsze vany i ruszyli w Polskę. Jedyne prezesa Jarosław Kaczyński przemieszcza się tradycyjnie, limuzyną, choć już bardzo nowocześnie rozprawia nie tylko o internecie, ale także o golach Lewandowskiego. Niewątpliwie czasy się zmieniają, kiedyś wystarczał jeden tuskobus i kampania była wygrana. Dziś i osiem busów PO obiecujących wyższe płace i silną gospodarkę może nie sprostać tej jednej limuzynie. Na trzy tygodnie przed wyborami na czele stawki od dawna jest stabilnie. PiS ma mniej więcej 10-punktową przewagę nad PO. Na horyzoncie nie widać niczego, co mogłoby ten stan rzeczy zasadniczo zmienić. Wszyscy już przecież wyłożyli karty na stół, obiecali, co obiecać mieli, i trudno o nowe pomysły na kolejne obietnice.

Na razie mamy czas na sztuczki. Pani posłanka Szydło na przykład postanowiła złożyć projekt ustawy o ustanowieniu minimalnej stawki godzinowej na poziomie 12 zł, zapominając, że w procesie legislacyjnym uczestniczy również Senat, który właśnie zakończył pracę, a Sejm zbiera się wyłącznie w celu przegłosowania popra-

wek Senatu i ewentualnie zmierzania się z oczywistym i spodziewanym wetem prezydenta do ustawy o uzgadnianiu płci. Taka nieznajomość procesu legislacyjnego jest kompromitująca, ale przecież to kampania, w której wszystko można powiedzieć i każdą niekompetencją się bezkarnie wykazać. Po co więc ten gest? Oczywiście, aby uderzyć premier Kopacz kolejnym spotem, których kampanijna wartość jest chyba przeceniana, podobnie jak programów komitetów wyborczych obowiązkowo emitowanych w mediach publicznych (to dopiero przed nami). Podobny numer wykonał prezydent z projektem ustawy o obniżeniu wieku emerytalnego. W języku PiS nazywa się to „dotrzymywaniem obietnic” i „dobrą zmianą” w sposobie uprawiania polityki. I to jest właściwie wiadomość pocieszająca. Wnieiony projekt, o którym z góry wiadomo, że jest makulaturą, nie zagraża przecież finansom publicznym, nie wywraca systemu emerytalnego, nie niesie żadnych konsekwencji. Gorzej, gdyby te papiery pojawiły się w Sejmie po wyborach.

Zdotrzymywania obietnic rozliczyła się natomiast, i to dokładnie, premier Kopacz, podsumowując rok pracy swojego rządu. Podsumowanie wypadło zupełnie dobrze, ale nie w tym dziś problem Platformy. Realne dokonania się nie liczą. Może nawet są tym garbem, workiem kamieni, do zrzucenia którego coraz bardziej emocjonalnie zachęca obecny lider kampanii PiS, prezes Jarosław Kaczyński, który już zdecydowanie wyszedł z cienia pani wiceprezes Szydło. Problem w nastroju, w partii i w społeczeństwie, w narastającym przekonaniu, że PO musi przegrać, że być może z przegraną nawet się pogodziła i walczy głównie o miejsce silnej opozycji.

Wczasie gdy prezes Kaczyński wyszedł z cienia, wszedł do niego, nie bez oporów zresztą, Leszek Miller i Janusz Palikot. Lewicę już oficjalnie prowadzi Barbara Nowacka. Był nawet pomysł, by mianować ją od razu lewicową kandydatką na premiera, ale go zarzucono. Może pod wpływem Włodzimierza Cimoszewicza, który udzielił jej swej rekomendacji, co dla lewicowego elektoratu ma spore znaczenie, ale ze świadomością, że problemem lewicy nie jest tworzenie rządu, lecz przejście ponad wyborczym progiem. W każdym razie w polityce nastał czas pań. Jest elegancko – panowie przodem puszczają panie. Co będzie potem? Do 25 października pracujemy zgodnie na Nowacką – głoszą panowie ze Zjednoczonej Lewicy, wiceprezes Szydło jest nadal, choć wyraźnie z coraz mniejszym entuzjazmem, brana pod uwagę przez prezesa, a premier Kopacz praktycznie sama ciągnie kampanię Platformy. Panowie czekają, aż się zmęczą?

emirates.com/pl

Nastaw się na lepsze wyniki

Dzięki naszej usłudze prywatnego kierowcy ciesz się wygodą i komfortem zarówno przed wylotem, jak i po wylądowaniu. Na miejsce dotrzesz spokojny, skoncentrowany i gotowy, by odnieść jeszcze większy sukces.

Hello Tomorrow



Emirates

Bezpłatny dostęp do internetu w wybranych samolotach

[Kup książkę](#)

Obowiązują „Ogólne warunki przewozu”. Więcej informacji pod numerem telefonu +48 22 306 08 08, na stronie emirates.com/pl lub w biurze podróży.



Talibowie zajęli Kunduz 28 września, co uznano za wielką porażkę rządu w Kابلu – to pierwsze tak duże miasto opanowane przez talibów od 14 lat. W dodatku od tego miasta w 1995 r. zaczęła się ofensywa, po której talibowie opanowali cały kraj. Odzyskanie Kunduz przez siły rządowe niewiele zmienia, bo talibowie nadal kontrolują 70 proc. prowincji, której to miasto jest stolicą. Nasila się krytyka zbyt szybkiej ewakuacji Amerykanów, którzy na początku roku zredukowali liczbę swoich żołnierzy do 9,8 tys., a w przyszłym chcą zupełnie wynieść się z Afganistanu. Waszyngtońska prasa pisze, że gdyby w Kunduz były również lądowe jednostki USA, lotnictwo nie zbombardowałoby dobrze oznaczonego szpitala.

Talibami zaczynają martwić się północni sąsiedzi Afganistanu, w tym Chiny. W ich oddziałach dominują już nie Pasztunowie, ale Uzbegy, Tadżykowie, Turkmeni, Kirgizi i Ujgurzy. Każda z tych grup etnicznych traktuje północny Afganistan jako bazę dla ataku na swoje ojczyzny, aby w przyszłości zamienić całą Azję Centralną w jeden emirat.

Talibowie wiecznie żywi

Tragiczny bilans – jak dotąd 12 pracowników organizacji Lekarze bez Granic i 10 pacjentów – przypadkowego ataku lotniczego Amerykanów na **szpital w Kunduz**,

w północnym Afganistanie. Sobotni nalot miał być wsparciem dla sił afgańskich, które właśnie wypychały ostatnie oddziały talibów z tego 300-tysięcznego miasta.

Fałszywy geniusz Putina

komentarz



Łukasz Wójcik

ZWładimirem Putinem jest jak z Leonidem Breżniewem – tak naprawdę nie wiadomo, kto mu doradza i na podstawie jakich informacji podejmuje decyzje. Stąd jest już tylko krok do mitologii. Dla wielu obserwatorów na Zachodzie (również w Polsce) Putin stał się kimś w rodzaju Garriego Kasparowa geopolityki, który wyprzedza innych przywódców o kilka ruchów. Wyciska z rosyjskiego potencjału maksimum możliwości i przywraca imperium. Dowodem na ten strategiczny geniusz Putina ma być interwencja w Syrii, gdzie od ponad tygodnia rosyjskie bombowce atakują pozycje przeciwników Baszara Asada. Zachód był przekonany, że celem tych ataków będzie tzw. Państwo Islamskie, ale Rosjanie nie bawią się w takie detale – tak jak na Ukrainie wszyscy przeciwnicy byli „faszystami”, tak w Syrii wszyscy są „terrorystami”.

Teraz w zachodnich mediach dominuje więc narracja, że oto Putin srogo zakpił z Baracka Obamy, który swoim niezdecydowaniem doprowadził do dramatu Syryjczyków. Putin zaś przychodzi z odsieczą ofiarom wojny domowej i jednocześnie odbudowuje radzieckie imperium. Jeśli na dodatek szybko odbije antyczną Palmyrę – co podobno jest już zaplanowane – to, kto wie, może też zasłuży na pokojowego Nobla?

Cały ten zachwyt jednak prysnie, gdy w Syrii zaczną ginąć Rosjanie, gdy jakiś strącony rosyjski pilot (choć żadnemu tego nie życzę) straci głowę w światłach reflektorów. Bo Amerykanie nie bez powodów nie zdecydowali się na pełną interwencję w Syrii. Putin zaangażował się w konflikt, którego nie można wygrać bombami. Przyjmijmy na chwilę, że Rosjanie jednak zniszczą Państwo Islamskie (PI) i uratują Asada. Aby nie dopuścić do reaktywacji dżihadu w Syrii,

miejsce PI musieliby zająć umiarkowani przedstawiciele sunnitów, którzy stanowią 80 proc. syryjskiej ludności. Ale odkąd Rosjanie stanęli po stronie Asada, tego alawickiego mordercy z Damaszku, żadne sunnickie ugrupowanie nie przyłożyło ręki do projektu „nowa Syria według Rosji”. Szybciej już kilku sunnitów wysadzi się na placu Czerwonym.

Jeśli Putin w ogóle myśli strategicznie, trudno wskazać, które jego posunięcie w ciągu ostatnich lat przyniosło Rosji jakiegokolwiek strategiczne korzyści. Moskwa, pozwalając w marcu 2011 r. na zachodnie naloty, straciła sojusznika w Libii, a wcześniej także wpływy w Iraku i Egipcie. Aneksja Krymu okazała się bardzo kosztowna, podobnie jak inwazja we wschodniej Ukrainie, której długofalowym efektem jest już mentalny zwrot Ukraińców ku Zachodowi. Tak jak zwrot Szwedów i Finów ku NATO. Natomiast wymiarem efektem sankcji po inwazji na Ukrainę i spadku cen ropy jest 15-proc. inflacja w Rosji, 4-proc. spadek PKB i ponad 50-proc. spadek wartości rubla. Prawdziwy geniusz z tego Putina!

Wszystko jednak zależy od przyjętej perspektywy. Jeśli za punkt odniesienia przyjmimy dobrobyt Rosjan w najbliższych dekadach, to rządy Putina są katastrofą. Jeśli jednak chodzi o dobrobyt samego Putina, o stabilność jego władzy, perspektywa gwałtownie się zmienia. Dla Moskwy nie ma większej różnicy między studentami demonstrującymi w Kijowie i islamskimi terrorystami zwyciężającymi w Syrii. W obu przypadkach widzi dla siebie niebezpieczeństwo. Bo jeśli na Ukrainie powiązanej z Europą będzie można żyć lepiej, to dlaczego nie w Rosji? Jeśli islamici z PI mogą się wysadzać w Syrii, to dlaczego nie w Rosji? Putin zmodyfikował ostatnio swój kontrakt z Rosjanami. Na początku jego rządów brzmiał on w skrócie: Może nie jestem demokratą, ale wy macie pełne garnki. Dziś jest on następujący: może nie jestem demokratą, może nie macie też pełnych garnków, ale przynajmniej wygrywamy na polu walki. Putin potrzebuje takich doraźnych sukcesów, aby utrzymać się u władzy. Działa reaktywnie, krótkofalowo. Dlatego ci, którzy przypisują mu wielki plan podboju świata, wyświadczają mu głupią przysługę.

Tunezyjska gruba kreska

Tunezyjczycy będą odbywali dobrze nam znaną debatę.

Prezydent **Al-Badži Ka'id as-Sibsi**, w imię zgody narodowej, zamykania bolesnego rozdziału historii i gry o przyszłość, zaproponował przeprowadzenie amnestii, która w praktyce objęłaby 7 tys. urzędników i prominentnych biznesmenów związanych z upadłym reżimem prezydenta Ben Alego, którym postawiono ciężkie zarzuty korupcyjne. Uniknęliby kary, gdyby zwrócili państwu zdefraudowane dobra. Zdaniem obecnego prezydenta amnestia oczyściłaby klimat w kręgach biznesu i rozkręciła rozwój (w tym roku PKB ma wzrosnąć tylko o niecały procent). Argumenty przeciwników puszczenia płazem ciężkich przewin też dobrze znamy. Oskarżeni reżimowcy obciążani są odpowiedzialnością za całe zło starego systemu i pełnią rolę niejako symboliczną. Mieliby teraz uniknąć kary? Najsilniej oponuje organizacja Prawda i Godność (IVD), powołana przed dwoma laty, na wzór tej z RPA, do rozliczeń z ludźmi poprzedniego systemu. Słyszysz się także głosy, że wielu z listy biznesmenów nawiązało nowe związki z pałacem prezydenckim, więc plan amnestii nie jest zupełnie bezinteresowny. Wkrótce ruszy w tej sprawie debata parlamentarna, gdzie rząd może bez problemu przepchnąć kontrowersyjny projekt. Czy w sumie będzie się opłacał? – tu zdania są podzielone.

© REUTERS/FORUM



1,9 dol. dziennie

Są i nieco lepsze wiadomości. W skrajnej biedzie, ogłosił Bank Światowy, pozostaje dziś 702 mln ludzi, 9,6 proc. całej ludzkości. To nadal potężna armia balansujących na granicy przeżycia, jednak grupa ta zawsze była znacznie większa, jeszcze 3 lata temu liczyła prawie miliard osób. I co znamienne rzesza najbiedniejszych stopniała, mimo że Bank Światowy podniósł właśnie tzw. linię ubóstwa. Dotąd uznawał za najbiedniejszych tych, którzy nie byli w stanie wydać więcej niż 1,25 dol. dziennie – teraz ekonomiści Banku wolą posługiwać się stawką 1,9 dol. na dzień, co podobno wierniej uwzględnia rzeczywiste koszty życia w różnych państwach.

Znaczące ograniczenie skrajnego ubóstwa w tak krótkim czasie wynikać ma z postępów gospodarek w najbardziej ludnych krajach globalnego Południa, m.in. w **Indiach** i Afryce Subsaharyjskiej. Nieco lepiej jest tam także z opieką zdrowotną, edukacją i systemami zabezpieczenia społecznego. Ten korzystny trend, ostrzegł prezes Banku Jim Yong Kim, może się załamać, mogą go odwrócić wojny, globalne spowolnienie gospodarcze, bezrobocie wśród młodych albo niepowstrzymane zmiany klimatu. Nie jest więc wcale pewne, czy w 2030 r. uda się – co niedawno przyrzekano na szczycie ONZ w Nowym Jorku – uwolnić wszystkich od nędzy i głodu.

© GETTY IMAGES



© HEIKO JUNGES/SCANPIX



Przecieki z Nobla

Na krótko przed ogłoszeniem tegorocznego laureata Pokojowej Nagrody Nobla (9 października) pojawił się drobny zgrzyt. Powodem jest wydana właśnie książka **Geira Lundestada**, sekretarza nagrody w latach 1990–2014. Autor zdradza w niej zakulisowe smaczki z obrad, pisze między innymi, że przyznanie wyróżnienia Barackowi Obamie było przedwczesne i ostatecznie okazało się pomyłką. Zdradza też, że kilkakrotnie byli lepsi kandydaci niż ostateczni laureaci, że na początku XXI w. rozważano, czy nie nagrodzić Bono, Stinga albo Boba Geldofa, ale uznano, że jednak bardziej pasują do nagród muzycznych oraz że prawicowi członkowie tego grona są przeciwni nagrodom dla ekologów, a lewicowi dla krytyków Rosji. A także, że Komitet Noblowski jest ogólnie niechętny papieżom, więc nominowany w tym roku Franciszek raczej nie ma na co liczyć. Do nagrody zgłoszono także 272 inne kandydatury, w tym 68 organizacji. Według szefa norweskiego Instytutu Badań nad Pokojem, który już kilkakrotnie poprawnie typował zwycięzców, największe szanse ma niemiecka kanclerz Angela Merkel: za działania na rzecz pokoju na Ukrainie oraz pomocy uchodźcom. Tymczasem Komitet Noblowski wydał oświadczenie, że książka Lundestada łamie zapisaną w jego umowie o pracę zasadę 50 lat dyskrecji, ale nie poda byłego sekretarza do sądu. Bardzo pokojowo.

Prawica od lat karmi Polaków swoimi lękami. Społeczeństwo długimi okresami potrafiło się przed nimi bronić. Ale czasami te prawicowe strachy przebijają barierę ochronną i przenikają do zbiorowej świadomości. Tak jak teraz.

Straszydła prawicy



© GETTY

JACEK ŻAKOWSKI

Kiedy PiS zaczęło opowiadać o śmiertelnie groźnej inwazji islamistów, którzy zaleją Polskę i zrobią tu straszne rzeczy, niezwłocznie pojawił się zarzut, że jest to cyniczne straszenie Polaków. Mnie on nie przekonuje. Choć nie wierzę w głupstwa o śmiertelnym niebezpieczeństwie. Gdyby kilkudziesięciomilionowy naród miał powód poważnie bać się kilku lub choćby kilkudziesięciu tysięcy imigrantów, znaczyłoby to, że jest narodem upadłym. A nie uważam, żebyśmy byli takim narodem.

Jednak nie czuję się przez prawicę oszukiwany ani manipulowany. Uważam, że pisowska prawica mówi i pisze z grubszą

to, co czuje. Prawica nas nie straszy, ona szczerze się boi. Nieustannie. Żyje lękami, tak jak lewica żyje nadziejami. Z tym że polska prawica bardziej, a polska lewica mniej niż w starych demokracjach. Lęki rządzą Polską. Zmieniają się tylko wizje przerażających zagrożeń. Gdy jedno się zbyt długo nie sprawdza, ich miejsce zajmują kolejne.

Kiedy prezes Kaczyński mówi w Sejmie o ludziach szalonych z nienawiści do Polski – chcących nas zmusić, byśmy wpuścili do kraju obcych kulturowo, którzy sikają w kościołach – całe jego ciało potwierdza groźbę sytuacji. Oczy ma jak spodki. Mięśnie twarzy napięte. Widać w nich autentyczny strach czło-

wieka, który na gorąco opowiada bliskim, jak w ciemnym lesie zobaczył wilkołaka. Nie mam wątpliwości, że prezes nie udaje. On opisuje, co widzi. A my widzimy, co on czuje. Wierzę, że przeżywa to szczerze. Może najwyżej troszkę koloryzuje. Ale spontanicznie, bo strach ma wielkie oczy. Wystarczy raz stanąć oko w oko z jakimś groźnym zwierzęciem lub człowiekiem, by zrozumieć, jak nasza wyobraźnia powiększa przeciwnika, którego się boimy.

Podobnie, kiedy Jarosław Gowin daje wyborcom słowo, że po to jest polskim politykiem, by nie dopuścić, żeby terroryści wysadzali polskie niemowlęta w powietrze – też szczerze mu wierzę. Przez jego delikatną niemowlęcą twarz przebiega wtedy prawdziwa zgroza. Odbija się w niej autentyczny strach dziadka o los wnucząt, pradiadka o los prawnucząt. Wierzę, że przed wielkimi oczami jego wyobraźni przelatują wtedy eskadry wysadzanych w powietrze pokoleń Gowiniątek. Potrafię sobie wyobrazić, jak bolesne musi być takie wyobrażenie.

Od kiedy pamiętam, strach i cierpienie malują się na twarzach emblematycznych liderów polskiej prawicy. Nie tylko pisowskiej. Dekadę temu Jan Rokita, Jacek Saryusz-Wolski i cały batalion przerażonych powtarzali hasło „Nicea albo śmierć!”. Prawica z obozu IV RP wieszczyla koniec świata, a przynajmniej Polski i Europy, w związku z zamianą Nicei na Lizbonę. Rokita wygłaszał w Sejmie wielkie mowy opisujące grozę, która nad nami zawiśnie, jeśli Europa odejdzie od traktatu nicejskiego. Krok za nim szedł Jarosław Kaczyński. Pół kroku dalej była Anna Fotyga. Słuchając ich, można się było solidnie przestraszyć. A jakoś przeżyliśmy. Traktat nicejski został dawno zastąpiony przez traktat lizboński, a Rokita żyje (choć jako polityczny zombie), Saryusz-Wolski żyje (jako europarlamentarzysta PO), Polska żyje (jako „zielona wyspa”), Unia Europejska żyje, PO – w imieniu której Rokita i Saryusz-Wolski straszili nas śmiercią – też jeszcze prawie żyje.

Cierpienie prawicy powodowane jej permanentnymi stanami lękowymi jest w Polsce od dekad źródłem cierpienia całego społeczeństwa. Pamiętacie traktat akcesyjny? Przypomnijcie sobie te egipskie plagi, które miały pogrzebać Polaków i Polskę, jeśli przystąpimy do Unii Europejskiej. Polskie rolnictwo miało zniknąć. Polska gospodarka miała się rozpaść. Jedynym zajęciem Polaków miało się stać podcieranie brudnych niemieckich tyłków. Kasandryczny prawicowy chór od świtu do nocy śpiewał pieśni grozy, codziennie dopisując nowe zwrotki.

To nie były żarty. Gdyby Jan Paweł II niemal w ostatniej chwili nie powiedział, że Europa potrzebuje Polski, a Polska Europy, to armia Rejtanów zaległaby na progach lokali referendalnych. Prawica naprawdę umierała ze strachu przed Unią. I była w tym strachu wiarygodna, bo była autentyczna i szczerą. To nie była gra. Zdecydowana większość uczciwie w te wszystkie horory wierzyła i chciała nas przed nimi bohaterstwo obronić. Nawet jeżeli można się było domyślać, że przynajmniej niektóre paranoiczne narracje powstają w gabinetach na Wschodzie. Strach było się nie bać!

Gwałtowna śmierć nicejska i wizja Brukseli jako wieży Babel, która się musi zaważyć, grzebiąc bezbożnych twórców, były zaledwie przygrzewką do największej eksplozji prawicowego horroru narracyjnego. Gdy po referendum świat się nie zaważył i w dużym stopniu zdezaktualizowały się eurofobiczne racjonalizacje permanentnego prawicowego lęku, profesorowie Jadwiga Staniszkis i Andrzej Zybortowicz napisali scenariusz wielkiego serialu agenturalnego pod tytułem „Układ”. Kluczem do strasznej prawdy miała być lustracja.

To już nie była żadna banalna „Teksańska masakra piłą mechaniczną VI”. To był prawdziwy Hitchcock. Zbrodniczy wróg nie wdierał nam się do domu. Nie można było się przed nim schować ani zamknąć. On był wszędzie. Czaił się w każdym kącie i w każdym człowieku. Wychodził ze znanych nam twarzy i spod łóżek. Z lodówek i ze szaf. Albo, co gorsza, wcale nie wyłaził. Czaił się gdzieś. Niewidoczny. Nieprzenikniony. Nieprzewidywalny. Łowcy agentów wyławiali i wyciągali z archiwów IPN pojedyn-

cze sztuki, ale ukojenia to nie przynosiło. Bo „wiadomo było”, że na jednego ujawnionego agenta przypada pułk ukrytych.

Wizja Polski oplecionej wrogą, wszechobecną siecią oficerów prowadzących i ich agentów (będących teraz przedsiębiorcami, politykami, duchownymi, dziennikarzami) idealnie odpowiadała na popyt paranoicznej racjonalizacji. Każdy chętny miał powód się bać. Każdy mógł uzasadnić odczuwane lęki. Nie wiadomo, przed czym ani przed kim. Nie wiadomo, dlaczego. Ale powód do strachu był.

Zamiast do apteki po proszki uspokajające, starczyło iść do kiosku po gazety uzasadniające podświadomy, endogeny, permanentny niepokój trawiający ludzi prawicy. A najlepiej było włączyć telewizor i obejrzeć jakiś demaskatorski program udowadniający, że wszystko jest z nami w porządku, bo jest się czego bać. Jest powód budzić się nocą z krzykiem, skoro tylu polityków, ekspertów, dziennikarzy z takim przejęciem opowiada o tym, co wszystkim zewsząd grozi. Jak komuś było mało, mógł się podbudować roztaczanymi przez Zbigniewa Ziobrę wizjami wszechogarniającej, zbrodniczej korupcji, która nie tylko krzywdzi i doi biednych ludzi, ale też zabija. Słowa: „Nikt już nigdy życia przez tego pana pozbawiony nie będzie” dobrze oddawały potęgę rozbuchanych strachów. Nie tylko uczciwość i sprawiedliwość znalazły się na szali, ale także życie każdego niewinnego.

Czas agenturalnej i korupcyjnej grozy był złotym czasem polskiej paranoi. Ale dość szybko się skończył. Po pierwszej wysokiej fali trudno było „ujawnić” następne przypadki. Teza o wszechogarniającym układzie padła jeszcze przed upadkiem pisowskiego rządu, bo nie udało się znaleźć dla niej potwierdzenia ani w szafie Lesiaka, ani w WSI, ani w IPN. Przez chwilę popyt na strach miał problem z podażą. Wtedy zdarzył się Smoleńsk.

Smoleńsk był – jak „Titanic” i Fukusizma – przerażającym przejawem bezmyślnego okrucieństwa sprzężonych sił natury i techniki uwolnionych spod kontroli nie dość roztropnego ludzkiego rozumu. Z takiej cywilizacyjnej traumy żadne społeczeństwo się łatwo i szybko nie uwalnia. Ale trauma to jedno, a wyzwolenie paranoicznych mocy to co innego. Tu główna energia poszła na kultywowanie zbiorowego strachu i konstruowanie jego generatorów. Od trotylu po mgłę. Papież kościoła strachu Antoni Macierewicz przez lata dostarczał argumentów, że jest powód się bać. Ci, którzy „zabili prezydenta”, mogli przecież zamordować każdego. Dlatego elektorat PiS nigdy nie miał pretensji, że partia wydaje fortunę na ochronę prezesa, a PiS nie żałował na nią pieniędzy. Dla partii była to inwestycja we wspólnotę strachu. Dla członków tej wspólnoty argument, że jest powód się bać.

Za sprawą tragedii smoleńskiej zbiorowy strach stał się usprawiedliwieniem milionów przywrótych lęków ogniskujących się w rozpalonych oczach byłego likwidatora WSI. Ale i tu wspólnota zaczęła się kruszyć, gdy okazało się, że niezliczone koncepcje objaśnienia, jak dokonano zbrodni, albo się nie potwierdzają, albo są ze sobą sprzeczne i w nic się nie składają. Po paru latach już tylko ci, którzy są w największej potrzebie, wierzą jeszcze w zamach. Zostało ich raptem ok. 15 proc. Już nawet prezes Kaczyński zdaje się odstawać od tej grupy.

W miarę jak erozja lęku smoleńskiego unicestwiała ostatnią (chwilowo) wielką lękową narrację prawicy, jej miejsce zajęły doraźne strachy kulturowe. Straszny Dżender ukryty w konwencji antyprzemocowej, związki partnerskie, które zniszczą rodzinę, a wraz z nią chrześcijańską cywilizację, in vitro, które doprowadzi do powstania sklepów z niemowlętami, podnoszące głowę mniejszości seksualne, które zarażą wszystkich swoimi przypadłościami i sprawią, że ludzkość wymrze – przynajmniej jej zachodnia część. Ilekroć któryś z tych tematów pojawiał się w debacie, z pudełka wyskakiwał ksiądz Oko. A za nim wyskakiwały najbardziej przerażone kobiety prawicy. Zwłaszcza Beata Kempa i Krystyna Pawłowicz malujące wizje świata zdziczałego i spotworniałego pod ciężarem Dżendera, invitra i „zboczeń”. ►